GŁOS NARODU

Wspomnienia żony wygnańca.

MICHALINY GRUSZECKIEJ.

(Dokończenie.)

Udało mi się jednak niektóre melodje wygrać na fortepianie i grywałam je mężowi mojemu jakoteż i inne nasze pieśni a szczególniej Warszawiankę zaczynającą się od słów:

Oto dziś dzień krwi i chwały i t. d., nie przytaczam jej dalej — bo któż jej nie zna?

* * *

W imieninowych deklamacjach były i utwory bardzo piękne i poważne. Inne znowu bardzo wesołe. Doskonałą deklamowano trawestację Aleksandra Krajewskiego znanej pieśni Getego: *„Znasz-li ten kraj?“* (t. j. Sybir). Każda strofa kończyła się — coś w tym rodzaju:

„Znasz li ten kraj? ach tam o moja miła,
„Nie byłby raj gdybyś ty nawet była“.

Po imieninowym obiedzie, wieczorem następowała herbata — ile tam samowarów wypijano, tego już nikt nie przeliczy. — Maszkowski sam nalewał, kontent że przy tej czynności może nie rozłączać się z kolegami i należeć do dysputy, a był tak despotyczny, że wszyscy prawie koledzy musieli mu ustępować z zastrzeżeniem jednak, że i im z kolei wolno będzie głos zabierać. Rozprawy przeciągały się dobrze po za północ. Maszkowski wykłóciwszy się ze wszystkimi, zaczepił mego męża w kwestji bardzo drażliwej tyczącej się naszej arystokracji i bronił jej do upadłego. Mąż mój demokrata do szpiku kości dowodzi mu, że do upadku Polski głównie przyczyniło się możnowładztwo, przypomina Targowicę i wiele innych faktów przytacza.

Maszkowski z pięściami przypada do mego męża w obronie głów tytułowanych, zaprzecza wszystkim argumentom jego i gradem słów zbija każde odezwanie się mego męża. Nakoniec zwraca się do innych kolegów, ale nigdzie nie znajduje poparcia — to go już doprowadza do ostateczności.

Głównie jednak atakuje mego męża i dwie godziny pracuje nad tem, żeby go przekonać.

Ale mąż mój twardo stojący na podstawach swoich przekonań, na każdy argument Maszkowskiego najspokojniej kładzie veto. O godzinie trzeciej po północy goście dają hasło, że już czas udać się na spoczynek. Gospodarz wielką miał ochotę jeszcze przeciągać dysputę — ale koledzy nie zgodzili się na to i rozeszli się, szukając każdy swego wojłoka i poduszki porozkładanych na podłodze.

Światła pogaszono i wszyscy do snu się ułożyli. Po niejakim czasie mąż mój czuje, że ktoś dotyka jego twarzy i ramion tak jak gdyby czegoś szukał. Co to jest? Kto to? Nikt nie odpowiada — łatwo jednakże domyśleć się, że to był Kasper Maszkowski, który ulokowawszy swoją pościel tuż koło mego męża szukał jego ręki a znalazłszy ją i ucałowawszy mówi:

— „Słuchaj Michale, błagam cię i zaklinam na wszystkie świętości, pozwól mi powiedzieć na dokończenie dysputy jeszcze tylko dwa słowa“.

— Dobrze, mąż mój odpowiada, ale nie więcej.

Na to Maszkowski:

— Jesteś głupi i nie masz uczucia.

— Amen, mówi mój mąż.

I oba ułożyli się do snu.

Czy jednak Maszkowski miał noc spokojną o tem należy wątpić.

Na drugi dzień po herbacie wszyscy się rozjechali i żegnali serdecznie ale Kasper od tego czasu krzywo spoglądał na mego męża, tak, że wracali do kraju w sto-

sunkach dosyć chłodnych. — Kiedy po pobraniu się naszem oboje przybyliśmy do Kijowa na kontrakty gdzie Maszkowski zamieszkał po powrocie, czując się winnym względem męża mego, nie śmiał zrobić pierwszego kroku, przysłał więc deputację z zapytaniem czy go mąż przyjmie.

Naturalnie że nie inaczej się stało, nastąpiła zgoda z prawdziwie polską serdecznością.

Wieczorem zebrała się u nas wiara w ilości piętnastu samych „Konarszczyków“, jak ich nazywano, choć Konarski do ich związku nie należał. Jakie były powitania, uciecha, rozweselenie z powodu spotkania się już na ojczystej ziemi, o tem nie trzeba mówić. Ja cały wieczór nalewałam herbatę a kiedy podano szesnasty samowar dostałam migreny, musiałam opuścić gości i położyć się do łóżka.

Z innych jeszcze imieninowych sybirskich kolegów bardzo sympatyczny był Ignacy Pióro i Antoni Wałecki. — Ten ostatni wysoko wykształcony, poważny miał sposób bycia a przytem niezmiernie gorące usposobienie.

Przy tem posiadał jeszcze jeden przymiot: Wzrost i olbrzymią siłę. Pewnego razu kiedy szedł na spacer z za płotu wyskoczył chłopiec i biegnąc za nim powtarzał frazes, który często dawał się słyszeć na Syberji.

— „Polak durak, Arszau prospał“, co znaczy: Głupi Polak przespał Warszawę.

Wałecki zniecierpliwiony i wzburzony, schwycił chłopca a podniosłszy go do góry żylastemi rękami, obydwa uszy mu poderwał tak, że krew obficie się polała. Naturalnie urządzono zaraz śledztwo i sprawa oparła się o Petersburg. Dziwne jednak i niepraktykowane zdarzenie! że winny nie tylko nie został ukarany, ale w odpowiedzi przysłano rozporządzenie, żeby mieszkańcy i dzieci sybirskie nie drażniły Polaków.

Z czasów Mikołaja I. to chyba jedyny fakt jaki miał miejsce.

Był jeszcze wtedy na Syberji niejaki Adam Zwoliński, szlachcic zagonowy z Królestwa Polskiego, zasłany był za rozbicie posterunków i powieszenie siedmiu żydów zdrajców, tak było napisane w *„spiskach“* (papiery urzędowe). Poczciwa to była dusza i patrjota gorący, ale przez obcowanie z klasą niższą przyzwyczaił się do trunków, które doprowadziły go do nałogu.

Ponieważ przez cały czas pobytu na Syberji nie rozłączał się z moim mężem i był do niego bardzo przywiązany, odszukał nas, kiedy już po powrocie zamieszkaliśmy na wsi — osiadł przy nas i pomagał trochę w gospodarstwie a właściwie był na łaskawym chlebie. — Ale nałóg jego wzmagał się, mąż mój był słaby dla niego, ja więc często go napominałam ale napróżno. Jak tylko podpił zaczynał spiewać:

Marsz do Brześcia, Uściługa, skrócić bracie tam niewolę
Tam czekają nas z za Buga, Litwa, Wołyń i Podole.

Biedaczysko o czem myślał w stanie trzeźwym, to po pijanemu wypowiadał.*) Chociaż pochodził z klasy prostej, uczucie patrjotyczne było w nim ogromnie rozwinięte, przytem był to człowiek szlachetny, uczciwy i pełen poświęcenia. Nałóg swój zawdzięczał Moskalom, wśród których żyć musiał, a którzy nurzają się w kałużach niemoralności i pijaństwa.

Było też na wygnaniu wielu poczciwych Mazurów, biedowali oni okropnie z przyczyny nieznajomości rosyjskiego języka.

Kiedy wielki książę, brat Mikołaja I. odwiedzał Syberję i robił przegląd katorżnych robót, jeden z Mazurów wystąpił do niego z prośbą i przemową:

— Wasze Preswieśceństwo ja ociecestwo swoje grudiami zascyscał, po kolana w krowi brodził a oni nazywają mnie wornakiem i pędzą do katorżnych robót to nie charaso, wasze preświesceństwo.

Wielki książe nie mógł się wstrzymać od śmiechu i uwolnił go z katorgi.

Język rosyjski nie mógł się pomieścić w głowie Mazurów.

— Widzis bracie, mówili jeden do drugiego, u tych Moskali wszystko na opak, u nas na ten przykład koła u wozu tylne wyższe a psednie nizse, a u nich na odwrót — u nas jeden drugiemu mówi: zdrowia życzę — a oni mówią: „zdrowia żałuję.“ Ja mówię do Katarzyny: daj mi nóż no! do krajania chleba — a o ona mówi:

— Na co tobie mój nos?

— Ja jej mówię: — daj mleka — a ona do mnie:

— Idź w pohreb.

— A ja do niej: — A gdzie ten nieboszczyk co będzie jego pogrzeb.

A ona mówi:

Idź że w pohreb**) a ja tobie dam podnos.

A ja do niej. — A za co ty mi das pod nos?... ty mi pod nos, to ja tobie pod ucho.

Najrozmaitsze wytwarzały się śmieszne sceny i nieporozumienia między mazurami i moskalami. Niewyczerpany zapas tych anegdot opowiadali mi nasi Sybiracy, ale nie wszystkie wyrażenia pamiętam.

* * *

W końcu nadszedł rok pięćdziesiąty piąty, wojna krymska i śmierć Mikołaja.

Jednego poranka kiedy koledzy zjechali się do mego męża na jakąś uroczystość doroczną, wpada urzędnik policejski i z radością i uśmiechem na twarzy woła:

— *Słuszajtie gospoda, Nikołuszka konczatsia.*

Piorun z nieba nie zrobiłby większego wrażenia na naszych wygnańcach jak ta wieść nieoczekiwana. Zerwali się wszyscy na równe nogi, powstał ruch, wrzawa, gawędy — przewidywa-

*) Spiewał on mnóstwo naszych pieśni między innemi:
Widać, widać już Stawiszcze...

**) Po rossyjsku piwnica: pohreb; podstawa, taca: podnos.

nia, a Nowakowski wyskakuje na środek pokoju klaszczę w dłonie i woła:

— Jak Boga kocham, widzę już Bednarską ulicę.

Kto nie zna życia wygnańczego, ten nie może mieć pojęcia o strasznem uczuciu tęsknoty, które szarpie serce i nerwy.

* * *

Wysłuchał Pan wreszcie modłów naszych drogich wygnańców i zaczęli się wybierać w drogę. Wyjazd jednak nie prędko nastąpił. Trzeba było czekać ogłoszenia manifestu, potem przychodziły z Petersburga zapytania o każdego czy jest *charoszoho powiedienia,* to jest dobrego sprawowania się, czy zasługuje na cesarską łaskę? A świadectwo takie zależy od dobrej woli urzędników dających świadectwo moralności, o której sami pojęcia nie mają, wreszcie trzeba było uregulować interesa, tak, że rok upłynął nim mogli wybrać się w drogę.

Wyjeżdżali po kilku olbrzymiemi saniami zabudowanemi, nazywającemi się *Worki.*

Przybyli do kraju pełni uroku, władający prześlicznym polskim językim, oznajomieni z biegiem spraw i całą literaturą, zajmujący swą rozmową i sposobem towarzyskiego znalezienia się, niezachwianych zasad przy niepospolitem wykształceniu — słowem pełni uroku i życia wrócili z uweselonem sercem i czystem sumieniem.

„Nowakowski ujrzał Bednarską ulicę“.

* * *

Błogosławieni którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości.

JAN ŚWIERK.

Z wycieczki na Śląsk.

(Ciąg dalszy).

Wszystkie dźwignie olbrzymie, ciężkie, silne huczą w swoim ruchu — wszystkie młoty ogromne, straszne w swej sile, walą bez przerwy — walce się obracają, czerwone bryły żelaza z pieca raz po raz są wyrzucane, a robotnicy spoceni, zmęczeni, oczernieni, wszyscy w tych bluzach ciemno-niebieskich, wyglądają jak ciemne mary jakiegoś dziwnie strasznego świata.

Przechodząc obok jakiegoś młodego robotnika, który ocierał sobie twarz z potu obficie płynącego, zagadałem do niego, lecz pan Korfanty przestrzega mię:

— Ostrożnie! Gdyby usłyszano, że po polsku mówimy, mogliby tamtych prześladować. Zauważyłem, jak robotnicy owi uśmiechali się szczerze na widok Korfantego i niby udając że go nie znają, pozdrawiali go niemem skinieniem głowy lub wejrzeniem serdecznie przyjaznem.

— Znają mnie — mówi do nas redaktor. Siedem miesięcy pracowałem z nimi. Po ukończeniu uniwersytetu wstąpiłem jako robotnik do pracy, aby zbliżyć się do nich, aby poznać ich życie i ich trudy.

Na zakończenie oględzin tych, wprowadzono nas tam, gdzie robią stal...

Na wysokości 2go piętra, w ogromnej hali, umieszczony jest piec w formie olbrzymiej gruszy. Szerszym końcem na dół zwieszony, węższym ku górze zwrócony. W piecu tym palą się metale płomieniem, a stopień ciepła wynosi 2000!... Ażeby wtłoczyć tam tyle powietrza ile potrzeba do wywołania ognia o stopniach 2 tysięcy, pracuje machina osobna o sile 2500 koni. Straszny jest widok tego ognia buchającego w górze, przy którym przecież muszą stać ludzie i metale dorzucać i wewnątrz lawę poruszać.

Biedni ci ludzie podobniejsi są raczej do mar jak do żywych istot... Mają z grubej skóry daszki ochronne nad oczami, mają także ochrony na wierzchu rąk, aby iskry sypiące się w koło nie przepalały im ciała. Mają też obok zawieszone ogromne kawały płócien do ocierania ciągłego potu, który im zalewa oczy i zmywa całe ciało. Opowiadają nam, iż niebieska bluza robotnicza nowo wdziana do tej pracy, za 3 dni jest biała jak zwykłe płótno, tak pot i ogień ubieli ją.

Kierownik huty przez lunetę śledzi czyli metale przetapiane na stal mają już wymagane 2000° gorąca. Poznaje on to po rozszczepianych barwach tęczy, jaka przez pryzmat rysuje się. Jeżeli najciemniejszy kolor fioletowy i czerwony pokaże się wyraźnie, stal już jest gotowa, jeśli te kolory jeszcze są blade, daje sygnał kierownikowi machiny do wtłaczania powietrza, aby ruch przyspieszyć i ogień powiększać.

Byliśmy właśnie świadkami tej czynności, kiedy stal miano wylewać.

Wjechała najpierw lokomotywa wioząc formy potrzebne do wlewania stali, ustawiono je tuż pod ognistym wysoko piecem. Kiedy lokomotywa odjechała, robotnicy ci w górze, osobno na to przyrządzonymi dźwigniami poczęli obracać ów piec straszny i nachylać w przeciwną stronę.

Nachylony piec sypie miljardy iskier, które jak najwspanialsze rakiety spadają do okoła, a w porównaniu do podziwianych nieraz na festynach rakiet Mądrzykowskiego, wydaje się nam ten deszcz iskier rozpryskujących się, czemś tak wspaniałem i imponująco pięknem, iż z zachwytem na to patrzymy.

To nie czcza zabawka dla tłumów znudzonych, to istna praca i trud, to mozolna walka ludu robotniczego o byt jego i to potęga kapitału, który 4000 ludzi wprzęga w jarzmo pracy



ATOMAN DASZKIEWICZ

Obraz Jana Matejki ze zbioru Dra Stanisława Larysz Niedzielskiego w Śledziejowicach.

(Naśladownictwo zastrzeżone.)



„Po powstaniu", Artura Grottgera. (Naśladownictwo zastrzeżone).

na śmierć i życie dlatego, aby kapitał jego mnożył się, wzrastał i — jemu służył...

I czyje to kapitały pracą rąk 8000 powiększają się?... Wszak to ich, pruskie miljony tutaj tuczą się, rosną, mnożą i na to są przeznaczone, aby resztki polskiego ducha zabić, zgasić i zdeptać!...

I na czyjejże ziemi oni rozłożyli swoje kuźnie dantejskich piekieł, aby zaprzęgnąć do najcięższej pracy Helotów nieszczęśliwych i plwać im w oczy i czekać na ich wyginięcie?...

Taka oto dola ziemi śląskiej i ludu śląskiego... tylko my o tem nie wiemy i nie znamy tego wszystkiego.

Stal wylana, dzienna szychta skończona, więc robotnicy poczynają się zmieniać, a teraz pod noc rozpocznie się to samo do świtu, by od świtu przyszli znów inni i w krwawym pocie pracowali.

Nie może ustać robota ani na jeden dzień, bo jednorazowe wygaśnięcie pieca wymaga palenia przez trzy miesiące, aby doprowadzić do żądanego stopnia ciepła.

Tak moi panowie!... Wy obliczyliście dokładnie ile miesięcy trzeba palić, aby piec rozgrzać do stopni 2000, ale czemu wy nie obliczycie ile sił waszych pójdzie na marne, aby zgasić życie narodu przez was deptanego?... Czemu wy nie chcecie w to uwierzyć, iż ognia miłości Ojczyzny, w serce ludu wlanego nie zdoła wasza wściekłość zagasić, lecz owszem rozpala go i rozgrzewa coraz silniej!

I wychodzimy z tego świata ogni, iskier, potu, huku, płonących metali, a za nami rozlewa się czarną wstęgą smutna fala ludzi przemęczonych i przepalonych, którzy z dziennej szychty wracają na noc do domów.

Biedni ludzie! Czemże ich praca w porównaniu do pracy tego rolnika, któremu skowronek nuci rzewnie, ciemny bór echem odpowiada, a lekki wietrzyk czoło chłodzi?

Czemże w obec tych ogni i dymów, ciepły ranek wiosenny na rozległej równinie, który oracza wita perłami rosy i pieści wonią ziół przydrożnych?

Rolnictwo jest poezją życia, a przemysł i fabryki są ponurą prozą, jednak — gdy za mało dziś roli i bez pieśni skowronków zarabiać na chleb trzeba — godzi się nam bodaj znać tę pracę i rozumieć czem życie ludu tak pracującego umilić, natchnąć i ubogacić...

Chleb i dach mają, a im trzeba nieść serce i ducha O! trzeba!...

— Robotnicy tutejsi są nieźle wynagradzani, tłumaczy p. Korfanty — najgorszy robotnik dostanie 3 marki dziennie, a są i tacy, którzy dorabiają się majątku. Ci już przestają pracować żyjąc z procentu. Musimy jednak usilnie pracować nad organizowaniem stowarzyszeń robotniczych dla obudzenia w nich poczucia obowiązków narodowych i uchronienia ich od wyzysków niemieckich. Jakkolwiek płaca ich zdaje się znaczna, w istocie przecież w obec ofiary zdrowia i częstych kalectw jest ona za niską. Należy też i to zrozumieć, iż tak ciężko pracujący robotnik musi odżywiać się lepiej, że i życie tutejsze nie jest wcale tanie, a Niemcy umieją wytrącać z płacy przy wielu upatrzonych okolicznościach.

— Dostająż emeryturę wypracowani?...

— O tak, ale licha to rzecz i jeśli sobie robotnik nie mógł oszczędzić co grosza na starość, bardzo potem bieduje. Łożą też wiele robotnicy na kształcenie synów, którzy dostawszy się potem do wyższych szkół niemczą z szaloną szybkością.

Weszliśmy do mieszkania p. Reszke.

(C. d. n.)

Anna K.

Poeta przed sądem.

(Humoreska.)

(Ciąg dalszy).

Kraków 1902 r.

„Panie miłosierny, Łaskawco mój, Panie Dobrodzieju, a toż to grzech, toż obraza Boska taka poezja! za moich czasów Sędzio Najwyższy, Panie Dobrodzieju całkiem inna bywała, prawdziwa poezja! tak to rozumiem a ta blaga! padam do nóg! A toż myśmy we wszystko wierzyli a te durnie w nic! Myśmy Panie Miłosierny wszystkiem się zachwycali, a te kpy kpią sobie ze wszystkiego i wątpią i niby to płaczą nad sobą i światem. A dam ja wam Panie Dobrodzieju krokodyle łzy, świat was o nic nie prosi“... zapalał się coraz bardziej i o Sędzi Najwyższego obecności snać zapomniawszy rękami wymachiwać począł i grozić wylękłemu delikwentowi:

„Słyszaneż to rzeczy! my się spodziewali grzechów odpuszczenia, i ciał zmartwychwstania jak czego dobrego czekali, a te błazny o jakiejś tam chińskiej czy indyjskiej *nirwanie* myślą. A farmazony! Kłamstwo to jest, okłgujecie sami siebie i żaden dobrze urodzony człowiek — jakem szlachcic, wam też nie uwierzy, bo każdy wie z doświadczenia, że życie to jest rzecz i przyjemna i pożyteczna i każdy chce żyć i tu i tam, i wszędzie zresztą, byleby jak najdłużej! Ot Panie Miłosierny, Sędzio Najwyższy, Panie Dobrodzieju! alboż to i mnie trudno nie było ze swojej starej skorupy wyłazić i z ziemią się rozstawać, a terazem przecie kontent! ale żeby też Jezus, Marja, Józefie święty! miały człeka robaki z duszą zjeść, to daję słowo jakem szlachcic“...

Ale Pan znudzony skinął na anioły by staruszka — gadułę na bok odprowadziły — zaś innym żeby ową piękną, młodą pannę zaprosiły na środek.

Ta z wielką gracją i dystynkcją Sędzi Najwyższemu się skłoniła, lecz zato z pod brwi ściągniętych złe i pogardliwe posłała poecie spojrzenie.

Ten gdy ją ujrzał zadrżał cały i pobladł bardziej jeszcze; pod tem spojrzeniem oczy wbił w ziemię i nieruchomy aż do końca pozostał, niby przez sen słysząc jak swym dźwięcznym, miarowym, chłodnym głosem — doskonale wychowanej Panny — skarżyła się Bogu:

„Panie! oto ten niegodną poezją swoją wystawił mnie niejako pod pręgierz publiczny. Prawda! wysławiał mnie pod niebiosa — ale tak niebacznie, tak bez taktu o mych wdziękach mówił jak gdyby miał z niemi bliską styczność“... tu wzdrygnęła się i zapłoniła rumieńcem przyzwoitej, z dobrego domu Panny a biedny poeta zbielał poprostu i jeszcze głębiej wzrok wbił w

ziemię, bo z za grobu zastanawiając się nad tem, czuł jednak że miała rację!... Tylko iż wówczas na ziemi ani mu to przez głowę nie przeszło nawet. Tak ją kochał, czcił, ubóstwiał ale przecież młodym był — gdy myślał o niej, mimowoli taki jakiś szał go unosił...

A piękna Panna ciągnęła dalej:

„Tak n. p. przyrównywał mnie do słońca to prawda! ale dodawał: I tyś jak wszechświatu słońce, nocą nawet płonęła nad mą głową!...“ Znów głosu jej w piersi z oburzenia brakło i urwała — wreszcie dokończyła drżącym szeptem: „tak, tak! opinję moją na szwank wystawił i. przez to zamąż wyjść nie mogłam i... nie wyszłam!...“

Poeta leciutko odetchnął i jednem okiem spojrzał na nią gdy się oddalała. Słyszał też jak anioł jakiś z pod skrzydła cichutko szepnął, tak aby Pan nie zauważył: „I niceś na tem nie straciła!“ Zaś drugi mu odszepnął:

„Ale też i na niebo zarobić sobie nie mogła!“

Do tronu Pańskiego zbliżał się teraz poważny mężczyzna o twarzy żółciowej, suchej i zgryźliwej, a jakiś anioł pociągnął drugiego za skrzydło mówiąc cichutko do niego:

„Nigdyś nie widział takiego! patrz: krytyk.“

Więc poeta wspomniał iż za życia dostojną tę a surową postać nieraz spotykał, tylko że wówczas dziwnym zuchwalcem być musiał, gdyż go się nie lękał, i owszem wyzywał coraz to nowemi poezjami! Tu zaś drży jak liść osiki.

A krytyk, nie patrząc nawet na niego, już odpowiadał Panu bardzo mądrym, nosowym głosem:

„Czasu wiele niepotrzebnie traciłem nad nim Sędzio Najwyższy ucząc go rozumu (za co dziś cierpię!) słuchać mnie nie chciał i głupim też pozostał całe życie. Na zarozumialców, pysznych i nieszczerych rady nie ma! ale niechże ze mnie spadnie odpowiedzialność przed światem za głupotę jego!“

Poeta aż się za głowę schwycił.

Jezus Marya! głupim był może... zarozumiałym? nie tyle zapewne co jego krytyk ale zawsze trochę!... Ale nieszczery — przebóg, nigdy!

I miał ochotę wrzasnąć to wielkim głosem za odchodzącym krytykiem, lecz pomiarkował się że mu nie uwierzy... z zasady! tak jak i za życia. Zresztą Pan wołał znowu na anioły, a te przyprowadzały doń przedostatniego świadka owego eleganckiego młodzieńca, którego nawet w czyścu ze szpiczastych lakierków rozebrać nie można było. Ale oto za nim niespodzianie niewzywany wcisnął się niepostrzeżenie inny jakiś młodzian niedbale ubrany i z podbitem okiem; ten odepchnął bez ceremonji eleganta w stronę i szybko Panu się skłoniwszy na cały głos wołał:

„Za pozwoleniem Sędzio Najwyższy! proszę o głos i ja mam coś o tym wierszoklecie do powiedzenia. Bogu dzięki minęły już czasy podłej i głupiej arystokracji — od wieku nie istnieje już ona wcale — dziś światem rządzi, za pozwoleniem, socjal-demokracja, a ten bazgracz, ten zacofaniec ani socjalistą, ani demokratą być nie chciał i o jakiejś nikczemnej ugodzie ludzkiej, o jakiemś zlaniu się klas, tak jakbyśmy na to pozwolić mogli“...

Urwał nagle.

(Dok. nast.)

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Więc sądzisz, że czekał na kogoś?

— Był niemłody, chory. Zapewne mógł był wyjść na spacer, ale nie w taką noc, ciemną, wilgotną. Czemu stał przez pięć do dziesięciu minut przy furtce, jak to wywnioskował doktor Mortimer z popiołu cygara?

— Wszak sir Karol wychodził co wieczór?

— Wątpię, czy co wieczór po dziesięć minut stawał przy furtce. Wiemy nawet, że zwykł był unikać łąki. Przeciwnie, owego wieczora czekał przy niej. Było to w wilię jego odjazdu do Londynu. Rzecz zaczyna się rozjaśniać. Mój drogi, podaj mi skrzypce. Mówmy o czem innem. Dajmy pokój tej sprawie aż do przybycia doktora Mortimer i sir Henryka Baskerville.

IV.

Sir Henryk Baskerville.

Zjedliśmy wcześnie śniadanie. Holmes czekał na zapowiedzianą wizytę. Nasi klienci stawili się punktualnie. Biła właśnie dziesiąta, gdy do pokoju bawialnego wszedł doktor Mortimer, a za nim młody baronet.

Ten ostatni był niewielkiego wzrostu, silnie zbudowany, miał lat ze trzydzieści, włosy i oczy ciemne; gęste czarne brwi nadawały jego twarzy wyraz stanowczy, a nawet srogi. Z całej jego postawy i ogorzałego oblicza było znać, że dużo przebywał na świeżem powietrzu; wyglądał na skończonego gentlemana.

— Oto sir Henryk Baskerville — prezentował doktor Mortimer.

— Tak, jestem tu we własnej osobie, a co dziwniejsza, panie Holmes, że gdyby mój przyjaciel nie zaproponował mi tej wizyty, sam przybyłbym do pana.

— Niechże pan siada. Czyżby od pańskiego przybycia do Londynu zdarzyło się panu coś niezwykłego?

— Zażartowano ze mnie. Dziś rano dostałem ten list.

Sir Henryk położył na stole kopertę; wszyscy nachyliliśmy się nad nią. Była to zwykła, szara koperta; adres: *Sir Henryk Baskerville, Northumberland Hotel* — wypisany był drukiem, stempel Charing Cross i data na kopercie z poprzedniego wieczora.

— Kto wiedział, że pan zatrzyma się w Northumberland Hotel? — spytał Holmes, spoglądając bystro na swego klienta.

— Nikt nie mógł wiedzieć. Zdecydowałem się dopiero po spotkaniu doktora Mortimer.

— Doktor Mortimer mieszkał już tam zapewne?

— Bynajmniej. Zatrzymałem się u znajomego — odparł doktor. — Nie było żadnych poszlak, wskazujących, że chcemy stanąć w tym właśnie hotelu.

— Hm! ktoś widocznie śledzi pańskie kroki.

Holmes wyjął z koperty papier dużego formatu, rozłożył go na stole. Na środku arkusza było jedno zdanie. Brzmiało w te słowa:

Jeżeli dbasz o życie, strzeż się trzęsawiska.

Tylko jedno słowo: „trzęsawiska" było wypisane drukowanemi literami, atramentem.

— A teraz, panie Holmes — rzekł sir Henryk Baskerville, może mi pan wytłómaczy, co znaczą te słowa i kto interesuje się moją osobą?

— Cóż pan o tem myślisz, doktorze Mortimer? Musisz chyba przyznać, że niema w tem nic nadnaturalnego.

— Nie, lecz te słowa mogą być skreślone przez kogoś, kto wierzy w nadprzyrodzoną siłę, rządzącą tą sprawą.

— Jaką sprawą? — podchwycił sir Henryk Baskerville. — Widzę, że panowie jesteście lepiej odemnie powiadomieni o moich interesach.

— Zanim stąd wyjdziesz, sir Henryku, będziesz wiedział to, co i my — oświadczył Sherlock Holmes. — Tymczasem zajmiemy się tym ciekawym dokumentem. List został naklejony i wrzucony do skrzynki wczoraj wieczorem. Czy masz wczorajszy *Times*, Watson?

— Leży tutaj.

— Proszę cię o niego. Chcę zobaczyć wewnętrzną kolumnę z artykułem wstępnym.

Przebiegł okiem wzdłuż szpalty.

— Artykuł wstępny traktuje o wolnym handlu. Pozwólcie mi odczytać z niego jeden ustęp:

„Nie należy się łudzić, że taryfa protekcyjna osłoni nasz przemysł. Takie prawo zmniejszy tylko obieg kapitałów i sprawi, że życie będzie droższem w Anglii. Jeżeli więc dbasz o swój dobrobyt, szanowny obywatelu strzeż się głosować za rzecznikami tej idei."

— Cóż o tem myślisz, Watson — zawołał Holmes, zacierając ręce z radości. Czy nie znajdujesz, że wyrażone poglądy są bardzo głębokie?

Doktor Mortimer spojrzał na Holmesa z zaciekawieniem; sir Henryk był widocznie zdziwiony.

— Nie znam się na taryfach — rzekł — ale nie widzę, aby te słowa miały nas wprowadzić na trop autora listu.

— I owszem. Watson zna mój system. Czy zrozumiałeś znaczenie tego zdania dla naszej sprawy?

— Przyznaję, że nie widzę żadnej łączności pomiędzy temi słowami, a przestrogą, zawartą w liście anonimowym.

— A jednak, kochany Watson, łączność jest tak ścisła, że jedno wypływa z drugiego. *Życie, dbasz, strzeż się* — czyż nie widzisz, skąd są wzięte owe słowa?

— Masz pan słuszność! zawołał sir Henryk.

— Wszelkie wątpliwości rozprasza fakt, że słowa zostały wycięte w całości, nie zaś pojedynczemi literami, a nawet widzimy dwa słowa wycięte razem: *dbasz o...*

— Doprawdy, panie Holmes, to przechodzi wszelkie pojęcie! — rzekł doktor Mortimer, patrząc na mego przyjaciela ze zdumieniem. — Nie dość, że pan poznałeś odrazu, iż słowa zostały wycięte z dziennika, ale domyśliłeś się, z którego. Powiedz-że nam, jakim sposobem?

— Sądzę, że potrafiłbyś, doktorze, odróżnić czaszkę Murzyna od czaszki Eskimosa?

— Naturalnie. Badanie czaszek — to moja specjalność.

— Dla moich oczu różnica pomiędzy *burgesowemi* czcionkami artykułów wstępnych *Timesa* a *petitowym* drukiem pism wieczornych jest tak wielka, jak dla pana pomiędzy czaszką Eskimosa a Murzyna. Badanie druków jest elementarzem wiedzy *detektywa.*

— O ile można przypuszczać, te słowa zostały wycięte scyzorykiem.

— Nie; nożyczkami i to bardzo ostremi i krótkiemi. Po wycięciu naklejono je gumą na papierze.

— Ale dlaczego słowo: *trzęsawisko* zostało wypisane ręcznie?

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku